ROZMAITOŚCI.

Dnia 15. Lutego **N^er^ 7.** **Roku 1854.**

Wesele ormieńskie

z Patmakhandy Ericha Schönberg.

Ze wszystkich zwyczajów i obyczajów innych narodów, są bezwątpienia najciekawsze dla nas ceremonie używane przy zawiéraniu ślubów małżeńskich, i na téj też zasadzie pozwalam sobie opisać tu wesele ormieńskie, którego naocznym byłem świadkiem.

— Piérwszego dnia zgromadzają się goście weselni tak w domu narzeczonego jako też narzeczonéj, mężczyźni w innym, a kobiéty w innym pokoju na piątrze, zatém każda płeć osobno. Jeżli niéma na tyle miejsca, aby wszyscy goście mogli w ten sposób pomieścić się w jednym domu, przyrządzają zwykle dla kobiét najbliższy dom sąsiedni. Zgromadzenie to w piérwszym dniu odbywa się bez dalszych ceremonii, goście przychodzą i odchodzą podług upodobania; jak mnie zapewniano, działo się to także tego dnia, w którym niebyłem obecny, gdyż dopiéro na drugi dzień byłem świadkiem wspomnionéj uroczystości. Po południu udałem się do domu pana młodego i zastałem towarzystwo przy fajkach; każdemu z przybywających podawano kawę na przyjęcie, ojciec narzeczonego robił honory, a żądającym podawano wody na ochłodzenie. Najęty skrzypek, lutnista i cymbalista starali się zabawiać towarzystwo harmonią swéj muzyki i nieharmonią swego śpiewu. Ich melodye przypominały mi żywo Nadżę indyjską, a mianowicie ów Taji-by-Taji z nadobnemi niewiastami jego sfer niebieskich. Późniéj tańczono nawet, ale ja wcześniéj odszedłem.

Na drugi dzień, w niedzielę w południe około godziny dwunastéj obyła się uroczysta ceremonia golenia pana młodego w jego pomieszkaniu. Wieczorem znalazłem się mniéj więcéj w takiém samém towarzystwie jak dniem przedtém w domu narzeczonego. Siedzących na miękkich sofach gości częstowano fajkami i kawą. Między 8 i 9 godziną wieczór wniesiono dwa małe stoły do pokoju; na każdym paliły się dwie lub trzy świéce woskowe tak cienkie jak stoczki. Na stołach leżały suknie dla pana młodego i dla drużbiątka; drużbiątko ma prawie takie same znaczenie, jak u nas drużba, tylko jest-to zwykle dziecko, i chłopczyk prowadzi pana młodego a dziewczynka pannę młodę.

Stoły te postawiono na środku pokoju; na jednym był ubiór pana młodego, składający się z futra, fezu, małego czerwonego kwefu i t. d., na drugim takie same przybory mniejszego rozmiaru jako ubiór drużbiątka. Trzéj obecni księża przywdziali swe szaty kościelne; dwaj żółte i białe płaszcze czyli ornaty z jedwabnego adamaszku, a trzeci, przeznaczony do posługi braciszek, podobny płaszcz niebieski w białe kwiaty. Następnie weszło sześciu dorosłych młodzieńców w pomarańczowych, jedwabnych płaszczach, bogato haftowanych złotem na piersiach, ramionach i plecach, z świécami woskowemi w ręku, a za nimi ośmiu chłopaków w bieli, z szeroką, haftowaną szarfą jedwabną, przepasaną na krzyż przez piersi. Ci chłopcy nieśli także świéce woskowe i utworzyli razem z poprzedzającymi młodzieńcami piérwszy rzęd dokoła stołu. Nakoniec weszło jeszcze dwóch innych chłopców z dużemi, cztéry stóp wysokiemi świécami woskowemi, i stanęli po obu bokach pana młodego.

Gdy już wszyscy zajęli swe miejsca, zaczęli księża odczytywać modlitwy i śpiéwać, na co chór świécących odpowiadał i odśpiéwał kilka pieśni. Potém dał najwyższy celebrujący kapłan znak do ubiérania pana młodego, usługujący braciszek wziął ze stołu fez i podał go celebrującemu, ten zrobił krzyż nad nim i przemówiwszy kilka słów, kazał go podać najznakomitszemu Ormieninowi w zgromadzeniu, gdyż uważają to za zaszczyt, zakładać fez panu młodemu. Zaszczycony tém Ormianin wziął fez podany, poszedł do celebrującego, podziękował mu ukłonem i ucałowaniem ręki, i jak mi się zdawało wcisnął mu coś przytém do rąk; potém poszedł do pana młodego, założył mu fez na głowę i powrócił na swoje miejsce. Ta sama ceremonia powtórzyła się z futrem, który celebrujący kazał podać innemu znów Ormieninowi i t. d. Równocześnie z ubiéraniem pana młodego odbywało się z takiemi samemi formalnościami także ubiéranie drużbiątka, którém było dziécię mające trzy lat może.

Po ukończeniu téj ceremonii przepędzono pół godziny na paleniu fajek i słuchaniu piosnek, które śpiéwało kilkoro dzieci ćwiczących się osobno w śpiéwie pod kierunkiem jednego z księży, co jednak nienależało wcale do ceremoniału weselnego. Największa zaś przyjemność tego wieczora czekała mnie dopiéro.

Jak już wspomniałem, zachowują Ormienie ściśle ten zwyczaj, żeby mężczyźni przy téj sposobności niewchodzili do zgromadzenia kobiét; dla mnie jednak chciano zrobić wyjątek i pozwolono mi wejść do niewieściego grona, które dla braku miejsca nie w domu pana młodego, lecz w sąsiednim domu się zebrało. Za przybyciem mojém zastałem tam z 80 do 100 kobiét i dziewcząt zebranych w piątrowym pokoju; na dywanie, jego poduszkach a nawet na podłodze przed nim siedziały gęsto dokoła najpiękniejsze niewiasty ormieńskiego szczepu; zaledwie zostawało cokolwiek miejsca dla kilku tancerek które parami się popisywały i dla małego

stołu z kilku świécami woskowemi, jedyném oświetleniem tego pokoju.

Mogę rzec śmiało, że widok ten był dla mnie jednym z najmilszych i najoryginalniejszych od czasu, jak opuściłem Indye; bo pominąwszy nawet niezmierną obfitość pereł, klejnotów i innych drogich ozdób, zachwycających tu oko, jak rzadko gdzie w Europie, był już sam czysto-oryentalny charakter tego grona nieocenionym dla mnie. Ubiór Ormianek nieróżni się wcale od ubioru Turczynek, ale pod względem piękności, przyznają im Turcy, którzy mają najlepszą sposobność sądzić o tém, stanowcze piérwszeństwo; czy słusznie, czy tylko z uprzedzenia dlatego, co obce i niełatwe do osiągnienia, niechcemy w to wchodzić. Włosy Ormianek spływające w gęstych łokach z pod lekkiego zawoju a po bokach i z tyłu posplotane w kilka warkoczy, są prawie wyłącznie ciemnego koloru. A przytém nieszpeci ich twarzy tak zwane Mis (antimonium), którém zwykle niewiasty tureckie i greckie malują sobie brwi i powieki, co wprawdzie nadaje oku jakiś rodzaj melancholii, ale zato pozbawia go wyrazu zdrowia i ujmuje znacznie piękności Oryentalkom.

Ci sami trzéj muzykanci, co wczoraj, przygrywali znane mi melodye, przy których parami tańczyły dziéwczęta, dające się wprzód długo namawiać, co nietyle pochodziło z braku chęci do tańca, ile raczéj ztąd, że upatrywano w tém rodzaj wyszczególnienia, na który odważyć się niemogły. Starsze wiekiem kobiéty, mianowicie gospodyni domu, stawały się zachęcać tancerki, a niektóre musiano nawet za ręce przyciągać. Sam taniec był całkiem oryginalny i równie jak muzyka przypominał mi swemi powabnemi zwroty, postawami ciała, poruszaniem rąk, nóg i głowy — żywo dolinę Kaszmiru.

Każda występująca do tańca zrzucała długie, osłaniające całą figurę futro, i tylko mały spencerek futrzany zakrywał jeszcze przed ciekawym wzrokiem piękny, gustowny ubiór i kształtną kibić tancerki; głowa i szyja jednak były całkiem wolne i dozwalały podziwiać całą piękność dziewic ormieńskich, godnych zaiste téj sławy. Tańce ich trwały po największéj części dość krótko, i każdą razą musiała gospodyni domu używać tych samych wpływów, aby wywabić nowe tancerki z grona. A chociaż przez cały wieczór wiele par tańczyło, zawsze dwie dziéwcząt razem, nieznudziła mnie jednak wcale ta zabawa, i snadnie byłbym jeszcze kilka godzin przypatrywał się jéj z równém zajęciem.

Miejsce to, jak już wspomniałem, było napełnione wdziękami wywierającemi uroczy wpływ na mnie; wszelako niezbywało takze na dojźrzalszych kobiétach, które wcale przeciwne obudzały uczucia. Ponieważ w pokoju było za ciasno, wolałem ze drzwi w przedsionku przypatrywać się tańcom, gdzie też nadobne dziewice ormieńskie wcale się nieusuwały od obcego gościa, tak że wkrótce nieprzeszkadzając nikomu, ujźrzałem się otoczonym dokoła młodemi pięknościami tego wesołego grona. Młodsze znów dziéwczęta, w wieku do

11 i 12 lat, tworzyły osobne kółko w drugim pokoju; także i tam pociągnęła mnie moja ciekawość, za którą jednak zostałem ukarany zaraz na wstępie jednogłośnym śmiechem téj wrzawliwéj dziatwy. Pod oknyma zaś téj komnaty, gdzie się bawiły kobiéty i dorosłe dziéwczęta, wystawione były w kołyskach trofey małżeństwa, które obecne tam matki poprzynosiły z sobą, aby je mieć pod okiem i nakarmić o swoim czasie.

Już było blizko północy, gdym powrócił do domu pana młodego, zkąd wybiérano się właśnie do pomieszkania panny młodéj, aby ją zabrać z sobą. Jest zwyczaj u Ormian, że narzeczonym niewolno widzieć się przed ślubem; i chociaż zaręczyny czyli poprzednia umowa między ich rodzicami nieraz dość wcześnie się odbywa, niezaniedbują przecież tego zwyczaju, lecz owszem pamiętają wtedy témbardziéj o tém, że wszelkie obcowanie a nawet widok dziewczyny ma być wzbroniony przeznaczonemu dla niéj młodzieńcowi. Żeby dziéwczyna niewidziała młodzieńca, temu trudno zapobiedz, gdyż pomiędzy przechodzącymi po ulicach zdarza jéj się nieraz sposobność ujźrzéć swego oblubieńca z poza krat, które ją zasłaniają przed jego wzrokiem. Żeby zaś narzeczony niemiał używać wszelkich sposobów, aby wyminąć ten zakaz, nieprzypadało to jakoś do moich pojęć europejskich; a jednak zapewniano mię kilkakrotnie z różnych stron, że zwyczaj ten tylko rzadko kiedy ulega wyjątkom, a zresztą po największéj części, przynajmniéj w kilku ostatnich latach przed zawarciem ślubów małżeńskich, ile możności jak najściśléj bywa zachowywany.

Nawet podczas ślubu niemoże młodzieniec widzieć swéj oblubienicy, gdyż dopiéro nazajutrz po ślubie odbywa się uroczyste odsłonięcie twarzy, i panu młodemu wolno wtedy po raz piérwszy cieszyć się widokiem uzyskanych wdzięków. Łatwo pojąć, że wytężone w ten sposób oczekiwania rzadko kiedy zupełnie mogą być zaspokojone, i jeźli krewni pana młodego niestarali się poprzednio nastrajać bardzo nizko jego nadziei, niebardzo ucieszy go ta niespodzianka, którą mu przygotować chciano. — Gdy już wszystko było gotowe, wyruszyliśmy z obecnymi w domu księżami i gośćmi, mianowicie płci żeńskiéj, prowadząc we środku pana młodego, odznaczającego się czerwonym kwefem przewieszonym przez ramię, zaopatrzeni w smolne łuczywa, latarnie, stoczki i co tylko mogło posłużyć do oświetlenia drogi, ulicami miasta ku pomieszkaniu narzeczonéj. W ciągu drogi można było widzieć tu i ówdzie odsuniętą kratę lub odchylone drzwi, z których młode, piękne twarzyczki przypatrywały się ciekawie temu korowodowi, i ufając ciemności swego ukrycia nieosłonięte lica wystawiały na oświetlenie nocnego pochodu.

Przyszedłszy do pomieszkania narzeczonéj udaliśmy się do pokoju mężczyzn, gdzie całe towarzystwo usiadłszy na dywanach, zanuciło tak zwane: „Ghusz geldinis“ (wesoły, radośny niech będzie twój wstęp!); księża zaś odeszli do in-

nego pokoju. W kilka minut potém dał mi znak jeden z księży, abym poszedł z nim do komnaty niewiast. Tu zastałem niezmiernie liczne grono; cały pokój był przepełniony tak dalece, że ledwie stać było można; ale jakkolwiek przykro mi było bardzo, że jeszcze moją osobą zawadzałem tym ludziom, to jednak ze względu na to, że może już więcéj niezdarzyłaby mi się sposobność taka, przemogło we mnie uczucie ciekawości.

(Dokończenie nastąpi).

STRAŻNICA MORSKA.

Trajedya w dwóch aktach, wierszem polskim z Houwalda.

Przekład p. N. H.

(Ciąg dalszy.)

Kasper.
A nieszczęsny przed nim pada
Na kolana, i dziękuje
Wybawcy co go ratuje,
Spędziwszy noc nieprzyjemną.

Dorota.
Tak klęczał Walter przedemną
Gdyśmy na łodzi w śród fali,
W rozbiciu go ratowali.
Czasem gdy śmierć zajźrzy w oczy,
Nagle dwoje serc jednoczy.

Kasper.
Dobrze — rękami dzielnemi
Walter go podnosi z ziemi,
Bo tylko przed jednym Bogiem,
Uznając w nim światów pana,
Nie przed możnym, lub przed wrogiem
Ma człek padać na kolana.
Patrzaj, jak go Walter ściska,
Jakby chciał życie rozniecić,
Co miało z piersi ulecić.

Dorota.
O gdybym tam była zbliska,
I choć chwilkę z niemi stała,
I ich szczęście podzielała.

Kasper.
Dzieci, próżno czas tracicie,
Niepotrzebne te rozmowy,
Wszak na różach nie stoicie,
A gościnny brzeg domowy
Jeszcze nie tak bardzo zbliska.

Dorota.
Nieznajomy w uniesieniu
Znów go w swe ramiona bierze
I do serca go przyciska —
Czy pamiętasz mój Walterze,
W jakiém ja cię zachwyceniu
Wiozłam na brzeg wśród powodzi?

Kasper.
Przecież schodzą raz do łodzi,
Szczęść im Boże, udziel mocy
Gdyś mu dał męztwa obficie
By mu uratował życie.

Dorota.
Wzburzone wiatrami nocy
Jeszcze się piętrzą bałwany,
Chodźmy mój ojcze kochany
Z niemi przygodę podzielić;
Wszakże w naszéj dużéj łodzi
I w śród największéj powodzi
Możem się na to ośmielić.

Kasper.
Nadaremne twe błaganie,
Próżno się biedzisz myślami,
Nim ty odbić jesteś w stanie,
Oni już tu będą z nami.

Dorota.

Ach! to prawda, nieraz przecie,
W chwilach wesołéj swawoli
Na morskich bałwanów grzbiecie
Kołysałam się do woli
Bez obawy o me życie;
A teraz truchleję skrycie
I w niebo wznoszę ramiona.

Kasper.

Bądź spokojną, on wykona,
Patrz jak dzielnie łódką wodzi,
Jak zna drogę wśród powodzi;
Choć się jeszcze fala sroży.
Morze mistrza w nim poznało,
Więc swą okropnością całą
Potulnie się przed nim korzy.

Dorota.

I gdy nakoniec podoła
Z nieszczęsnym tu do nas wrócić,
A on widząc w nim anioła
Zechce mu się do nóg rzucić;
Nie będziesz to miłość szczéra,
Co mnie wiąże do Waltera?
Wszakże to dla méj miłości
Walter w naszych stronach gości;
Bez niéj możeby na wieki
Pociągnął był w kraj daleki,
A tymczasem nieszczęśliwy
Po takiéj okropnéj nocy
Byłby zginął bez pomocy;
Wszakże to dowód prawdziwy,
Iż niebo naszéj miłości
Błogosławi w swéj litości.

Kasper.

Że to wasze przewinienie
Błogosławieństwem się kończy,
Dziękuj za to Bogu w niebie
Który czystych serc westchnienie
Nigdy nie zwraca od siebie,
Lecz je swą miłością łączy.

Dorota.

Mam-że teraz mieć nadzieję?

Kasper.

Czego chcesz córko kochana?

Dorota.

Że twoje serce zatleje
Dla szlachetnego młodziana
Miłością jakby dla syna;
Że przebaczona nam wina.

Kasper.

Wszak już wynagrodził szkodę;
Lecz cóż ja mu dam w nagrodę
Za uratowane życie?

Dorota.

Przyjmij go za własne dziécię!

Kasper.

Wprzódy go pobłogosławię
By szczęśliwie i bez szkody
Przepłynął przez morskie wody;
Ty odejdź — ja tu zabawię,
A gdy z nim razem wrócicie,
Droższém mi niż własne życie,
Twém sercem z nim się podzielę.

Dorota.

Nie mój ojcze, to za wiele
Podzielać serce na więcéj;
Obok miłości dziecięcéj
Wzrosła w mém sercu sąsiadka
W postaci polnego kwiatka;
Z jednego pnia idąc obie
Jedne czucie mają w sobie;
W blasku miłośnego słońca
Rozkwitają sie bez końca,
Zrodzone na bujnéj niwie,
Ich postawa szczytna, śmiała,
Jak córka kocha prawdziwie
I żona będzie kochała.

Kasper.

Ja już bez twojéj miłości
Żyć bym teraz niebył w stanie.

Dorota.

Pozwól na moje żądanie,
A bedziemy żyć bez znoju,
Ja dla waszéj przyjemności,
On dla naszego spokoju;
Ty się nami będziesz bawił
I swe dzieci błogosławił
Ich szczęściem zadowolniony.

Kasper.

A nasz Ulrych? dziécię moje!

Dorota.

I jego los zapewniony.
Wtenczas mój ojcze we troje
Zajmiemy się losem Stryja
Który téj miłości sprzyja;
Wszak pamiętasz jego słowa:
„By niewzbraniać téj miłości
„Co tak lubo w sercu gości.

Kasper.

Słów tych tajemna osnowa
Błogosławieństwem cię darzy.

Dorota. *(wyłazi na skałę).*

Chodźmy do naszych żeglarzy,
Już tu są, już kończą płynąć,
Walter, widzę doskonale,
Już mię poznał na téj skale.

Kasper.

Trzeba na nich chustką skinąć.

Dorota. *(daje znak chustką).*

Ku nam! ku nam! mój Walterze!

Kasper.

Patrzaj, ku nam bieg swój bierze,
Na łódce co wody kraje,
Jak bóg morza się wydaje.

Dorota.

Mój Walterze, śmiało! śmiało!
Ojciec cię przyjjmie w ramiona,
Serce mi z radości skacze!

Kasper.

Ciszéj córko! patrz jak płacze
Nieznajomy — a znamiona
Smutku są na nim wyryte,
Musiał on stracić nie mało
Co mu morze nieużyte
W swoje głębiny zabrało, —
Jak się zdaje już nie młody,
Na włosach znać już siwiznę,
Poprzestań żałować szkody!
Bo co raz pochwycą wody
W swoją bezdenną głębizne
Tego niepowrócą jęki
Całą duszą wygłoszone,
Bogu tylko składaj dzięki
Iż twe życie ocalone.

Dorota.

Już przybili, mogęż śpieszyć
By się z niemi razem cieszyć?

Kasper.

Szanuj obcego niedole
I Bogu dziękuj w pokorze,
Iż już przepłynęli morze
I są u brzegu na dole;
Bo twe o szczęściu marzenie
Nie miłe zrobi wrażenie
Na tym obcym, co w téj drodze
Przez los skarany tak srodze;
Najprzód trzeba go pocieszyć,
Spytać, jakby mu poradzić,
Z jaką pomocą pospieszyć,
By pamięć nieszczęścia zgładzić.

Scena 4.

Ciż. Walter. Hrabia Holm.

Walter.

Dzięki, ojcze, ojcu w niebie,
Że na brzegu mam już ciebie.

Hrabia.

Dzięki ci mój synu drogi
Za ratunek w téj przygodzie
Choć los mój byłby mniéj srogi,
Gdybym był na morza spodzie.

Walter.

Oczywiście, los tak sprawił
Abym ja ciebie wybawił,
A ty śmiesz na los narzekać;
Na toż ja w téj okolicy
Zakochany w téj dziewicy
Tak długo musiałem czekać.
To mój ojciec, ma Doroto!

Dorota.

Ojciec?

Kasper.

A teraz z ochotą.

Hrabia.

Boże! któż to przeżyć zdoła!
(na stronie).
Zmysły czy mnie nie mylicie?

Walter. *(wskazuje Dorotę).*

Ojcze! oto masz anioła
Któremu syn winien życie!

Kasper.

Niech się twe czoło nie chmurzy,
Chciéj nam zaufać bez trwogi,
Na tym brzegu spokój błogi
Niech cię pokrzepi po burzy.

Hrabia. *(odwraca się).*

Precz ztąd, wszakże wzrok ich oczy
Na mém się czole jednoczy,
A na mém czole wyryte
Strasznéj woli sądy skryte
Któremiś mnie skarał Boże,
„Tego kochać nikt nie może.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Rossiniego. — Raz jesienną porą w r. 1833, schodzi się Rossini na bulwarach w Paryżu z Fabianim drugim tenorzystą przy operze w Neapolu za czasów jego dyrekcyi. Szedł pochylony chociaż jeszcze nie miał lat trzydziestu, widocznie zbytki i rozpusta go zniszczyły.

Co ci jest Fabiani?

Ah! Maestro, ratuj bo zginę. Straciłem wszystko, niéma o czém i do Włoch wrócić.

A cóż z głosem się stało?

Uleciał z wiatrem! — mówi Fabiani.

Boś wietrznik — kto chce być śpiewakiem, powinien wodę nie szampany spijać. — Wieleż przecie potrzebujesz?

Dużo, Signor dużo! przynajmniéj pięćset franków.

Łaskaw jesteś, jak widzę!... Ha! przyjdź-no jutro do mnie — si vedra.

Westchnął Fabiani z podziękowaniem, a Rossini udał się do hotelu swojego nakładcy a wydawcy dzieł artystycznych. Wchodząc, wita go przedsiębierca i mówi:

Maestro! mam prożbę. Potrzebuję dwanaście aryek; nie mógłbym się u pana dopraszać?

— Dwanaście? To praca Alcyda! nie na rękę mi teraz.

— Ależ zapłacę gotówką 12,000 franków i bez próby nawet.

— Cóż! kiedy ochoty niéma. — Ale po chwili namyśla się Rossini.

— Więc dwanaście tysięcy franków, mówisz pan?— Na dwanaście zgoda, napiszę dwanaście aryi.

Po téj ugodzie zeszedł się z La Blache'm, i poprowadzili się do salonów Severiniego, gdzie przepatrując na stole rozłożone Album, znalazł La Blache i jedną aryę Rossiniego.

— Szkoda że téj aryi nie ogłosiłeś drukiem, mówi La Blache.

— Nie myślałem; przed pięciu laty pisała się dla p. Malibran. Ale dziękuję ci, nie złą mi myśl podałeś; pozbieram wszystkie moje arye porozrzucane po albumach przyjaciół moich, i będę miał więcej niźli nakładca żąda.

— Przedziwnie! ale gdzie odszukać imionniki, co się rozeszły po Francyi, Anglii, Niemczech i Włoszech?

— Obejdzie się bez tego zachodu — uśmiechnął się Rossini; mam w pamięci każdą nótę, jaka-m kiedy napisał.

I w przytomności La Blacha siada i pisze dwanaście aryi, i tego jeszcze wieczora odbiéra 12.000 franków.

Nazajutrz Fabiani jadąc w powozie pocztowym, opowiada, jak go jeden z rodaków wspaniale wyposażył do Włoch.

— Jakże się nazywa ten dobroczyńca?

— Powiedzieć nie wolno; — Rossini mi zakazał.

Rossini żyje teraz w Florencyi, donosi jedno z pism angielskich, ożenił się z panną Olimpią Pelissier, i prowadzi dom bardzo wytworny, usługa świetna z kilkunastu osób, dla siebie samego ma jedynastu. Madamma Rossini występuje tylko w powozie, sam zaś Rossini jak Ludwik Filip chodzi piechotą z parasolem pod pachą. Co rok jeździ do wód Monte Cattini, jak powiada dla swego wyżła. W tych czasach zakupił w Florencyi Palazzo Pucci za 490.000 franków, a na umeblowanie wyłożył 50,000 fr. Małżeństwo się woła, on: *Ma pauvre femme!* ona: *Mon immortel.*

Po słomce że w ręku narośnie, my poznajemy złodzieja; Indyanie zaś mają inny sposób poznawania kto się z sług sprzyniewierzył. Kiedy im co zginie, zwołują podejźrzanych i każą im przez czas niejaki trzymać w gębie trochę ryżu, a potém z osobna na stół wyrzucić. Pokaże się że ryż z gęby złodzieja będzie prawie zawsze suchy, a to dlatego że strach i obawa odkrycia zasusza w gębie ślinę.

Sama nie wiedząc kupuje kucharka wodę; a to: w funcie mydła ma trzy ćwierci funta wody; w dwudziestu funtach kartofli zapłaciła wody piętnaście funtów, a w pięciu funtach mięsa przyniosła cztery funty wody.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*